

Program ćwiczeń i popisów obejmował zarówno masztrę, jak i ratownictwo, sygnalizację, obok obozowania i zabaw skautowych, słowem, szereg ćwiczeń, których byliśmy bardzo ciekawi — jak wypadną.

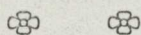
Pierwsza dąbrowska drużyna — to jeden zwarty organizm, kiedy wykonywa zwroty i ruchy podczas masztry. Tak doskonale zgrana i sprawnie ćwicząca jest pod tym względem wzorem dla innych.

Sygnalizacja szła również dobrze. Różnobarwne chorągiewki migotały bardzo sprawnie i przesłanie dość długich zdań odbywało się prędko i energicznie.

Prawdziwą niespodzianką dla niewtajemniczonego widza był popis oddziału ratowniczego. Białe postacie koleżanek z czerwonym krzyżem na lewym ramieniu uwijały się zwinnie po polance, bandażując domniemanych rannych w sposób, wzbudzający prawdziwe zaufanie do ich umiejętności. Wszyscy patrzyli z niekłamaną przyjemnością na ten dział popisów.

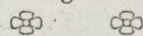
Godnym zazdrości zadaniem samarytanek jest nie zadawać rany, lecz je goić!

Potem zwinięto posterunek opatrunkowy i rozpoczęły się owe szczere, naturalne, pełne ruchu i życia zabawy. Każdy uczestnik nieodzownie się opalił na słońcu, zmęczył bieganiami i oddał się całą duszą tym prostym zabawom.

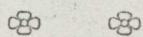


Zaczem opustoszała polanka i drużyny zajęły wybrzeża, półwyspy i przylądki lasu. Wśród zieleni drzew i krzewów zamigotały ogniska i siwy dym począł się rozwieszać po gałęziach i konarach sosen. Piekły się ziemniaki, gotowała się woda na różne zupy i herbaty, dziarskie postacie snuły się wszędzie. Gotowano sobie posiłek. Koło południa zjawiać się zaczęły gromadki sympatyków, znajomych i rodziców zebranej licznie młodzieży. Wszędzie ruch, gwar, ożywione rozmowy. Byliśmy wtedy wielką rodziną i wszyscy czuli się u siebie i swoi. Najlepszym wyrazem tego nastroju była chwila, kiedy pięćset z górą skautek i skautów ująwszy się za ręce, wielkim łańcuchem przeplatany między drzewami opasały obszerną polanę, wśród śmiechów, gwaru, ruchu i śpiewu.

Po dłuższej przerwie w ćwiczeniach oddziały zaczęły napływać na polanę i ustawiać się w długą kolumnę. Nad głowami uszeregowanej młodzi widniała czerwień i błękit sztandarów z białym orłem i lilją. Uszykowawszy się, oddziały ruszyły w ceremonialnym marszu, deklamując przed swym naczelnym komendantem i licznie zgromadzonymi widzami.



Sprawnym marszem, dzielna postawa zastępów, dziarskie ruchy, mimo gorąca dokuczliwego, kurzu i zmęczenia — wywoływały okrzyki niekłamanego zadowolenia z pośród publiczności. Potem drużyny zajęły krańce polany, ustawiając się w prawdziwy klucz żórawi. Była piękna i poważna chwila, kiedy ten klucz żórawi, lecący ku jasnym słonecznym brzegom, rozpoczął śpiew swego hymnu. „Tak nam dopomóż Bóg!” rozbrzmiewało, jak przysięga, wygłoszona wobec nieba i ziemi.



Wreszcie oddziały poczęły się żegnać i zanurzać w las. Dzień skautowy był skończony. Skośne promienie przedwieczornego słońca przedzierały się przez gałęzie drzew oblewając złotawym światłem szeregi. Jeszcze rozbrzmiewały ostatnie pożegnalne pieśni, ale i one milkły, ucichły gwarne rozmowy. Las zabierał się do snu.

Stef. P.



„WĄŻ”

Szykowałam się do spożycia naszego spóźnionego obiadu, gdy nagle wśród drzew ujrzałam zbliżającą koleżankę, trzymającą się za ręce. Po chwili przyłączyli się do nich koledzy i cała ta fala poczęła się oddalać.

Na tle zieleni, przewijające się w szybkim tempie postacie trudno było rozróżnić. Wszystko zlewało się tam w cielsko potworne, które ciemną wstęgą wyginało się między drzewami, łamało, by za chwilę na polanie wyciągnąć się w długą węzową linję.

Gdzieniedzie błysnął jasny kapeluszek koleżanki podobny w tej masie do białych plam na cielsku węża, a trzask przydeptywanych gałęzi i gwar zdala na szmer i syk podobny czynił analogję prawdopodobniejszą.

...I pomyślałam; co też złożyło się na tego węża, — potwora, groźnego, który przesuwał się jakąś pasją gnany naprzód wśród potoków promieni słonecznych?

To — młodzi związani jedną ideją, ożywieni jednym duchem — trzymające się za ręce „dzieci”!

I wił się ten wąż, okręcał o drzewa, znikał aby wypełznąć z drugiej strony...

Przypomniały mi się słowa Mickiewicza:

„Razem młodzi przyjaciele!”

W...



Wspomnienia.

Małymi grupkami od 1 do 2 schodziły się skautki do nowobudującego się domu. Tam po szczeblach murarskich pięły się na drugie piętro, gdzie pozwolono im odbywać zebrania.

Przyszły zziębnięte, bo mróz był nie na żarty; w pokoju, przeznaczonym na zebranie, nie ciepłej niż na dworze. Pomne na to, że skaut nigdy nie narzeka, pochowały ręce w rękawy swoich zakietów, posiadały na ceglach lub deskach i cierpliwie czekały na rozpoczęcie zbiórki.

Ciężko szła praca. Tylko w niedzielę mogły się zbierać w tym miejscu, w dni powszednie bowiem pracowali tu robotnicy. Musiały wyszukiwać sobie innych miejsc na zebrania, co było rzeczą nie łatwą, bo czujne oko policji śledziło skautów; musiały stawić dookoła warty, które w razie niebezpieczeństwa mogłyby je zaalarmować.

Poparcia od starszego społeczeństwa młodzi pracownicy nie mieli niemal wcale, a często nawet rodzice wręcz zabraniali przychodzenia na zbiórki w obawie przed czujnym wrogiem.

Młodzież jednak nie zrażała się; trudności i przeszkody były dla niej bodźcem, a przewyciężenie ich, zachętą do pracy.

Wychowana w duchu narodowym wierzyła głęboko, że chwila wyzwolenia nadejdzie. Z tą wiarą przetrwała dni przemocy.

Nadeszły dni jaśniejsze. Moskal daleko. Policja już nie śledzi skautów.

Mogą otwarcie zbierać się.

Więc ciągnie drużyna za drużyną do lasu na okręgową zbiórkę z pieśnią narodową na ustach, z niezłomną wiarą w lepszą przyszłość narodu. Po przyjeździe na oznaczone miejsce defilują przed komendantem, i, otrzymawszy od niego rozkaz dzienny, udają się na oznaczone im miejsca i rozkładają obóz.

Odpoczynek nie trwa długo. Zbierają się na obszerny polanie; drużynowi składają raporty, a wkrótce potem odbywają się popisy samarytanek i skautów — sygnalizatorów. Po obiedzie musztra, zabawy i następnie znów zbiórka na polanie. Po defiladzie, drużyny ustawiają się na oznaczonych miejscach.

„Hufiec baczność!“ słychać głos komendanta. Jednocześnie drużyn w jednej chwili prostuje się, przybierając postawę zasadniczą. „Czapki zdejm!“ i odkrywają się głowy wszystkich. „Rota!“ i z 500 piersi jednocześnie płynie pieśń „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród“, która rozpięra młodociane serca uczuciem patriotyzmu, a na przysięgę „Tak nam dopomóż Bóg“ w każdym sercu powstaje postanowienie trwać niezmiennie przy sztandarze narodowym, całe swe życie poświęcić dla odbudowania Ojczyzny, trwać wiernie przy „prawach harcerskich“.


Pieśń przebrzmiała...

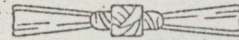
Zebrani goście, którzy w skupieniu i z rozrzuwaniem, stojąc wysłuchali jej, jednogłośnie krzyknęli: „Niech żyją skauci!“

Niech żyją! Niech w ich szeregach skupi się cała młodzież polska, niech w nich kształci się narodo-wo, wyzywając się wad przodków; niech przywyka do kar-ności i posłuszeństwa, niech poznaje wszechstronnie kraj swój i ukocha całym sercem swą nieszczęśliwą Ojczyznę niech będzie wzorem moralności i pracowitości.

Niech żyją młodociane szeregi, które zwiastują nam odrodzenie narodowe!

Niech żyją!

Stokrotka. 



Kuchnia 3 D.

Nasza drużyna miała przygotować sobie wspaniały obiad. No, co? Barszcz z boczkiem i pieczone kartofle!! Kartofli było ze ćwierć. Później plan „trochę“ się zmienił, bo ugotowano zupę kartoflaną, która była wyśmienita. Zaraz ją opiszę, posłuchajcie: na wierzchu pływały patyki i źdźbła traw, ponieważ kucharki nie umiały jeszcze obchodzić się dobrze z kuchnią (przykładając drwa na ogień zamiast podkładać pod naczynia, kładły z góry); w kilku menażkach była zupa całkiem jałowa; ani krzty słoniny; w innych zaś taka omaszczona i przesolona, że aż w gardle szczypało — ale to nic! Zjadało się aż miło! Po skończonym obiedzie mówiono: „dobre to było, ale mało“. Chwała Bogu, że i tak!

Zastępca komendanta widocznie już się domyślał co to za zupa, bo podziękował*, nawet na nią nie spoj-rzawszy — no trudno.

Na drugiej zbiórce postaramy się o lepszą.

Ale musi zjeść! I komendant także.

Jedna z III drużyny.

*) Zastępca komendanta okręgowego zaznacza, iż nieskorzystanie z zaproszenia nie miało swej przyczyny w podejrzanym wartości zupy, ile w serdecznej gościnności gospodarzy, „co tu owijać w bawelnę, częstowały mię niegłodnego tak znaczną ilością życiodajnej potrawy, iż grozić mi mogła choroba“.



Echa.

„...Przebieg wycieczki był prześliczny. Pomimo, że dzień był znoyny, jednakowoż nikt nie szemrał, gdyż każdy tak był zajęty śledzeniem wszystkiego, co się wokoło działo, że nie miał czasu pomyśleć o sobie, nietylko, ażeby odpocząć, lecz wogóle ażeby uniknąć żaru słonecznego“...

„...Ach! jak ślicznie się popisały. Z każdej drużyny wychodził skaut, który przewracał się przed frontem, udając chorego. Patrzyłem ze zdziwieniem: co to ma znaczyć? Lecz spoglądam w stronę obozu drużyny dąbrowskiej i widzę, że się porusza w naszą stronę orszak skautek ubranych w białe lekarskie fartuchy z czerwonymi krzyżami na lewym rękawie.“

Teraz się domyślam, co to ma znaczyć. Weszły na środek polanki, poprawiły ognisko, które tam się paliło, a następnie wzięły się do roboty nad opatrywaniem niby rannych skautów. Jeden miał zwichniętą nogą, drugi rękę, trzeci ranę na głowie, inny zaś udawał zemdlonego i t. p.

Do każdego podchodziły dwie skautki i opatrywały go. Temu okładaly nogę w łupki, innemu rękę, tamtemu dawały krople do wachania.

„...Wycieczka ta nie prędko zatrze się w pamięci, gdyż czegoś tak pięknego u nas dotychczas nie widziałem“.

[Lutek z III pl. i Sa.

„...Zmęczeni marszem dwugodzinnym od Grodzca do lasu zagórskiego, ledwieśmy zdążyli rozłożyć się obozem na skraju poręby, a już nam „rozkazano“ ćwiczyć, gotować, bawić się, przyglądać się, defilować i śpiewać — co, naturalnie, wykonywaliśmy sprawnie i ochoczo; poczym niemniej zmęczeni i weseli, jak to było na początku, odeszliśmy po 9-ciu godzinach wycieczki do domu, żegnając braci — skautów okrzykiem: „czuwaj!“, a las — śpiewami...“

1122 Sa.

„...Biegałem wówczas od ogniska do ogniska, od drużyny jednej do drugiej, szukając to drużynowych, to czyniąc te lub inne uwagi.

Ot, ogniska. Na ziemi wprost, bez zabezpieczeń należytych strzelają iście sobótkowe stosy płomienia. Oczywiście — „wymyślam“. Ale, co... Po odmarszu drużyn w ten sposób rozpalone ogniska okazują się wzorowo zagaszone, osypane ziemią, niektóre (I B) przykryte zielonym okrągłym plastrem darniny, tak iż niemal śladu po ognisku niema:

Jak się co stało, że z „młodzikowato“ porozpalanych ognisk po nich ślady były nieznaczne i wzorowo opatrzone, nie wiem, dosyć, że tak było.

Niech więc ci, którzy „wymyślanie przyjęli, przyjmą ode mnie pewien dowód uznania...“

Czan Pestaw.

„...Popis ratowniczy. Koleżanki - ratowniczkki opatrują rannych“. Na uboczu leży jakiś skaucina, którym nikt się nie zajmuje.

Widzi go jeden z kolegów, dość kępy blondynek. „To umarły już — objaśnia mi z powagą i ukrytym w kącikach ust uśmiechem o szelmosko zmrużonych oczach.

Roześmiałem się“...

Czan Pestaw.

„Obiad. Na trawie gromadką siedzą niedawni „chorzy“ i „ranni“. Zajadają z apetytem. Rzucam; „I cóż?“ Jeden z nich wlepią we mnie siwe oczy i mówi z przekonaniem poważnym: „Nic, tylko po tych opatrunkach czują się gorzej, niż przed nimi“.

Biedne ofiary miłości samarytańskiej.

Czan Pestaw.

„Chciałbym rzec coś o kuchni 3-iej drużyny żeńskiej z Dąbrowy. Niechący wynaleziono tam poniekąd nowy

typ kuchni. Nieckowaty dół, niezbyt głęboki, pokryty gorącym popiołem drzewnym, jest dnem, na którym wprost stawia się naczynia jedno od drugiego w pewnej niezna- cznej odległości. Odległości te zapełnia się krótkimi pa- tykami, które płonąc wskutek bocznych przewiewów ogrze- wają z boków każde naczynie,

Typ takiej kuchni kolebianej pozwala znacznie sze- łości potraw warzyć w wielu małych naczyniach“.

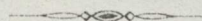
Czan Pestaw.

Miłe wspomnienia z tej wycieczki nigdy mi się nie- ztrą w pamięci. Amen.

Harcercz z I zastępu III pl. i Sa.



Defilada.



Pada sygnał trąbką: „zbiórka!“ Ze wszystkich stron słyhać komendę: „III drużyna — zbiórka!“ „IV drużyna — zbiórka“ i t.d., i za chwilę drużyny jedna za drugą wysuwają się z lasu na małą polaną i zatrzymują się jedna obok drugiej, tworząc długi rząd, bo aż z 11 dru- żyn się składający. Nasza drużyna staje między II a IV-tą.

Równanie do pierwszej, a później do piątej drużyny dąbrowskiej. Naraz komenda: „Hufiec — bacność!“ bu- dzi czujność kilku setek młodzi i skuwa ich, będących w oddzielnych drużynach w jedną całość. „Kolumna czwórkowa w prawo“ słyhać głos zastępcy komendanta, któremu wtórują krótkie, ostre rozkazy drużynowych: „W czwórki w prawo zwrot“. Hufiec łamie dwurzędę w czwórki i zwraca się czołem w prawo. „Maszerować“, a jak echo „pierwszy pluton — marsz“ każdej drużyny zakołysały hufcem. Wysuwając w czwórkach plutony ma- jące plutonowych na swych prawych skrzydłach, ruszył hufiec. Nie było nic słyhać, prócz wybijanego tempa, a od czasu do czasu dyskretne: „lewa, raz, dwa!“ Lu- dzie przejęci całkiem chwilą, nie myśleli o niczem innem jak tylko o tym, by nie „zgubić kroku“. I i III drużyna miały sztandary: niebieski i czerwony kolor; cudownie odbijał się na tle zieleni.

Pierwsza drużyna prowadząca kolumnę dochodzi do miejsca, gdzie stał nasz komendant i goście zebrani. Ku nim to rozkaz, co przerwał ciszę: „defilada w prawo!“ i drużyna „wprawy — patrz“ zwrócił głowy maszerującej kolumny, przyłożył do daszków czapek i kapeluszy dwa palce szarż, podniósł barwne sztandary, oddając cześć ze- branym i tej wolnej ziemi, po której kroczone.

„Stanać“ prowadzącego hufiec i „drużyna — stój“ zatrzymały defilującą kolumnę. „W lewo front“ zwrócił twarze ku wnętrzu utworzonej podkowy.

I popłynęła pieśń: „Nie rzucim ziemi...“

B...a.

